

Ks. Józef J. Dąbrowski

1842

1942

CZYTELNIKOM "Naszego Pisemka"
szczególnie młodzieży.

Janek był 19 - vii 1905.

Słowo wstępne

DNIA 19 stycznia 1942 roku przypada setna rocznica urodzin ks. Józefa J. Dąbrowskiego, wodza duchowego emigracji polskiej w Ameryce. Dając tej emigracji polskich księży i polskie nauczycielki zakonne, zapewnił jej ks. Dąbrowski opiekę i kierownictwo w duchu katolickim i polskim. Chroniąc ją przed pewnymi czynnikami, które parły do szybkiej i niezmiernie płytkiej amerykańskiej, zachował Kościołowi wiernych synów, Ameryce lojalnych obywateli, a Polsce życzliwych rodaków. Wierność emigracji polskiej wobec Kościoła katolickiego, jej lojalność wobec Stanów Zjednoczonych Ameryki i hojna życzliwość względem Polski zostały stwierdzone wielokrotnie nie tyle słowem, ile czynem . . .

Choć tak zasłużony, nie doczekał się jeszcze ks. Dąbrowski obszerniejszego studium. Ufajmy jednak, że rok jubileuszowy pobudzi talenty do zainteresowania się jego świetlaną postacią i do sportretowania jej choć w jednej obszernej biografii.

Tymczasem drukujemy to skromne dziełko. Niech ono przypomni tym, którzy znali ks. Dąbrowskiego, ważniejsze wypadki z jego życia, a tym, którzy nie mieli szczęścia go znać, niech choć w zarysie przedstawi życie Wielkiego Człowieka.

REDAKTORKA

“Naszego Pisemka”

Młociane lata

*Młodość jest rzeźbiarką,
Co wykuwa żywot cały:
Chociaż sama mija szparko
Cios jej dłuta wiecznotrwały.*

Zygmunt Krasiński

KS. JÓZEF DĄBROWSKI urodził się w Żółtańcach w Polsce dnia 19 stycznia 1842 roku. Ojciec jego, który był inżynierem, wcześniej go osierocił, zostawiając z matką i trojgiem rodzeństwa.

Inteligentny dwunastoletni Józio zrozumiał, że na niego jako najstarszego syna spadły ze śmiercią ojca poważne obowiązki. Toteż tuląc się do płaczącej matki, zapewniał ją z miną dorosłego młodzieńca, że będzie jej pomagał w wychowywaniu młodszego rodzeństwa. Ta dojrzałość syna i jego czułe serce musiały być niemałą pociechą dla pani Karoliny z Boruckich, matki Józia.

Rozumiała jednak doskonale, iż żeby Józio mógł dobrze zastąpić ojca, musi mu przede wszystkim dać dobre wykształcenie, więc też w tym celu przeprowadziła się do Lublina. Tam wynajęła obszerne mieszkanie, w którym założyła stancję dla uczniów gimnazjalnych. Z dochodów mogła utrzymać i kształcić dzieci. Możliwe, że Józio, który był energicznym i bardzo zdolnym uczniem, zarabiał także na swe wykształcenie przez udzielanie lekcji, tak zwanych korepetycji słabszym w nauce kolegom.

Z czasem za duże postępy w nauce otrzymał stypendium, przez co znacznie się zmniejszyły wydatki rodzinne. Po chlubnym ukończeniu gimnazjum pojechał na studia uniwersyteckie do Warszawy, do tak zwanej Szkoły Głównej.



Powstaniec

MŁODEMU studentowi nie danym jednak było dokończyć studiów w Szkole Głównej. Jego żywy temperament i gorący patriotyzm nie pozwoliły mu spokojnie studiować, gdy młodzież w kraju zerwała się do powstania w styczniu 1863 roku. Toteż z innymi akademikami warszawskimi pospieszył pod komendę generała Mierosławskiego służyć sprawie narodowej. Wkrótce też otrzymał dowództwo nad oddziałem powstańców.

Walka oddziałów powstańczych źle uzbrojonych i w rzemiośle wojennym nie wyćwiczonych z regularnym wojskiem moskiewskim była z góry skazana na klęskę. Ale zuchwała odwaga młodych zapalców i ich heroiczne poświęcenie się sprawie narodowej potrafiły się opierać przez półtora roku przeważającym siłom wroga, a nawet zadawać mu poważne ciosy.

Ksiądz Dąbrowski nieraz opowiadał, jak pewnego razu wpadł z dziesięcioma powstańcami do miejscowości, gdzie stał oddział żołdaków moskiewskich. Ktoś krzyknął: "Wojsko polskie!" — i to wystarczyło, by nieprzyjaciel uciekł w pośrochu.

Najczęściej jednak biedni powstańcy, tropieni jak zwierzęta przez górujących nad nimi liczbą i siłą fizyczną moskiewskich kłusowników — musieli się kryć i uciekać. Ileż to razy nasz bohater tylko cudem Opatrzności Bożej wychodził cało z zasadzki!

Raz schronił się z towarzyszami w opustoszałym dworku i skrył się w kominku. Wnet inna myśl go natchnęła. Wyrwał spaczoną deskę i skrył się pod podłogę. Wkrótce wpadli kozacy i splądrowali każdy zakątek, nie wyłączając kominka, i towarzyszy jego wymordowali. Nie przyszło im na myśl szukać pod podłogą.

Wychodząc z powstania z życiem, wrócił na studia do Warszawy. Wnet jednak Moskale, którzy ciągle jeszcze wyszukiwali tych, którzy brali udział w powstaniu, wpadli na trop naszego powstańca. W ucieczce przed pościgiem wpadł wyczerpany do zakładu doktora T. Chałubińskiego i błagał o ratunek. Zaczny doktor Chałubiński natychmiast prowadzi go do oddziału chorych na tyfus i jak choremu każe się kłaść do łóżka, a potem wraca do swego gabinetu. Wtem wpadają kozacy i żądają wydania zbiega. Na zapewnienie doktora, że w zakładzie są tylko chorzy — idą przeszukiwać sale. Chociaż przeszli tuż obok łóżka ściganego, nie poznali go i zakład opuścili. Opatrzność Boża nad nim czuwała. Doktor zaopiekował się powstańcem, aż ten odzyskał siły, a potem dopomógł mu ująć za granicę.

Uchodźca-tułacz



Z UPADKIEM powstania i przekroczeniem granic Polski rozpoczyna się nowy okres w życiu ks. Dąbrowskiego. Odtąd będzie wygnańcem z ojczyznanego kraju i tułać się będzie, aż znajdzie sobie kraj, który miłościwie przygarnie jego i rzesze jego rodaków i stanie się im drugą ojczyzną.

Po opuszczeniu kraju najpierw tułał się po Saksonii, gdzie ciężką pracą rąk zarabiał sobie na chleb codzienny. W liście do matki pisał: "Tak, Kochana Mamusiu, losy są zmienne: ten, co ludźmi dowodził, teraz młotem w kuźni kuje. Ale dzięki Bogu, jestem zdrow." Może miał przeczucie, że ta twarda szkoła życia, którą przechodzi, przygotowuje go do przyszłych obowiązków i dlatego tak pogodnie mówi o swych trudach. Nieocenione okazały się potem wiedza i doświadczenie, jakich w tułactwie nabył.

Z Saksonii udał się do Szwajcarii, gdzie nadal fizycznie pracując, może jeszcze studiować ulubioną matematykę w tamtejszych uniwersytetach.

Nie wiadomo, kiedy zrodziło się w nim powołanie, dość, że po paru latach tułaczki w 1867 roku nieodwołalnie postanowił zostać kapłanem i w tym celu jedzie do Rzymu, do polskiego kolegium duchownego Ojców Zmartwychwstańców, gdzie dostaje się pod bezpośredni wpływ tak wytrawnego kierownika dusz, jakim był ks. Piotr Semeneńko, jeden z pierwszych uczniów Bogdana Jańskiego, inicjatora (wraz z Mickiewiczem) Zgromadzenia Zmartwychwstańców.

Polski kapłan

POBYT w polskim kolegium w Rzymie nie tylko przygotował go do święceń kapłańskich, ale także zdecydował o wyborze pola pracy, na którym miał pozostać już do końca życia.

Święcenia kapłańskie przyjął 1 sierpnia 1869 roku.

W tym samym roku Polacy z Ameryki wysłali list do Ojca św., Piusa IX, przedstawiając w bardzo rzewnych słowach, że pozbawieni są wszelkiej opieki duchownej, że żyją i umierają bez Sakramentów świętych. Ojciec św. list ten posłał ks. Semeneńce z poleceniem, by dał go przeczytać klerykom i księżom polskiego kolegium i potem mu doniósł, który z nich ochotnym sercem się ofiaruje na misję w dalekim i mało dotąd znanym kraju.

Po przeczytaniu listu ks. Dąbrowski natychmiast zgłosił się do ks. Semeneńki i oświadczył mu, że gotów jest jechać do rodaków wołających o polskiego kapłana. Trzeba się było zatem porozumieć z biskupem amerykańskim, który by młodego misjonarza przyjął do swojej diecezji.

Ponieważ na mający się rozpocząć 8 grudnia 1869 roku sobór watykański przyjechał, między innymi przedstawicielami Kościoła katolickiego w Ameryce, ks. biskup Józef Melcher z Green Bay, Wisconsin, ks. Semeneńko przedstawił mu młodego ochotnika do pracy duszpasterskiej i prosił o przyjęcie go do swojej diecezji. Ks. biskup Melcher popatrzywszy badawczo na młodego kapłana powiedział:

— Dobrze, wezmę księdza, ale dam ci parafię niemiecką.

— Przepraszam Waszą Ekszelencję — odrzekł pokornie, lecz stanowczo ks. Dąbrowski — ale za niemiecką parafię dziękuję. Nie mogę jej przyjąć.

— Jakto! więc ksiądz gardzisz Niemcami? — surowo zapytał biskup.

— Broń Boże! — żywo zaprzeczył ks. Dąbrowski. — Nie gardzę nimi, ale Wasza Ekszelencja wie najlepiej, że Niemcy w Ameryce mają pod dostatkiem duchownej opieki, a biedni Polacy żyją bez nauki, bez Przenajświętszej Ofiary i Sakramentów świętych i tak schodzą z tego świata niepocieszeni i w największym opuszczeniu.

Świątobliwemu biskupowi podobała się ta rozumna i odważna odpowiedź, toteż odparł dobrotliwie:

— Dobrze, przyjmuję księdza do mej diecezji i dam ci parafię polską.

Odtąd ks. Józef Dąbrowski należy już do Polaków w Ameryce.

Matka polskiego kapłana

OFIARA, jaką ks. Dąbrowski złożył z siebie rodakom, nie była tak łatwą. Przecież miał matkę w kraju. Jakże ona przyjmie wiadomość o takiej rozłące? Postanawia spotkać się z matką w Krakowie i ostrożnie przygotować ją do złożenia ofiary z syna. Do zaboru rosyjskiego jako powstaniec nie mógł pojechać. Listownie więc poprosił matkę, aby z młodszym jego bratem wybrała się do Krakowa. Sam również wybrał się w podróż.

W Krakowie przez blisko dwa tygodnie cieszyła się matka synem-kapłanem, nieświadoma tego, że wkrótce dzielić ich będzie ocean. Wreszcie pod koniec drugiego tygodnia ks. Józef wyznał, że odjeżdża do dalekiej Ameryki. Jakaż była jego radość, gdy zamiast sprzeciwu i wyrzutów usłyszał z ust matki:

— Pan Bóg prowadził cię dotąd, niechaj i dalej prowadzi. Ja cię błogosławię, niech cię i Bóg błogosławi. Jedź w imię Boże!

Taką miał matkę ks. Dąbrowski. Oboje byli siebie godni.

Wkrótce, żegnany jej błogosławieństwem, wyruszył w daleką podróż. W dwudziestym siódmym roku życia, w pełni młodych sił, zapału i uzdolnień wracał, ufny w pomoc Bożą, na nowe dla siebie drogi, powtarzając:

“W radości serca będę służył Tobie, Boże!”

Na nowej placówce

*“Kto dla braci pracuje, ma moc za miliony,
Rośnie w siłę jak olbrzym o ziemię rzucony;—
Czas mu cegły podaje, utrwala budowę
I kładzie na jej szczycie swe piętno wiekowe.*

Maria Konopnicka

WKRÓTCE po przyjeździe ks. Dąbrowskiego do Wisconsin ks. biskup Melcher powierzył mu polską parafię Najświętszego Serca Jezusowego w osadzie, którą ks. Dąbrowski nazwał “Polonia”.

Parafia ta była w stanie takiego zaniedbania, że tylko stalowa odporność nowego proboszcza podołać mogła dźwiganiu jej z nędzy moralnej — i materialnej.

Położenie kościoła było tak nieszczęśliwe z powodu sąsiedztwa gorszących karczem i walka z złym wpływem tych karczem była tak bezskuteczna, że ks. Dąbrowski zmuszonym był przenieść kościół na inne miejsce. To było zadanie bardzo trudne z różnych względów, ale ks. Dąbrowski widział w nim jedyny ratunek dla parafii.

Uzyskawszy na to pozwolenie od władzy duchownej, mimo gwałtownego sprzeciwu wielu, szczególnie wrogich mu karczmarzy, zabrał się z tymi parafianami, których zdołał już sobie pozyskać, do rozbierania kościoła i przeniesienia go na inne miejsce. Tym nowym miejscem był ładny kawał gruntu подарowany przez zamożnego farmera, nazwiskiem McGrear, nie-katolika, który wkrótce potem przeszedł wraz z całą rodziną na łono Kościoła katolickiego.

Z powodu silnych mrozów panujących w tym północnym stanie i gwałtownych ataków nieprzyjaciół praca nad rozbieraniem i ponownym ustawianiem kościoła trwała kilka miesięcy, a tymczasem nabożeństwo trzeba było odbywać po domach parafian. Wreszcie pod koniec lata kościół został wykończony, a parafianie odsunięci od zgubnego wpływu karczem.

Tak rozpoczął swą pracę na nowej placówce. Niby dostał od ks. biskupa parafię i kościół, a przecież musiał je najpierw z gruntu przerobić. Ks. Dąbrowski na drodze swego życia nie znajdował nic gotowego. Wszystko musiał sam wykonywać ciężką pracą ducha i rąk.

Sprowadzenie polskich zakonnic

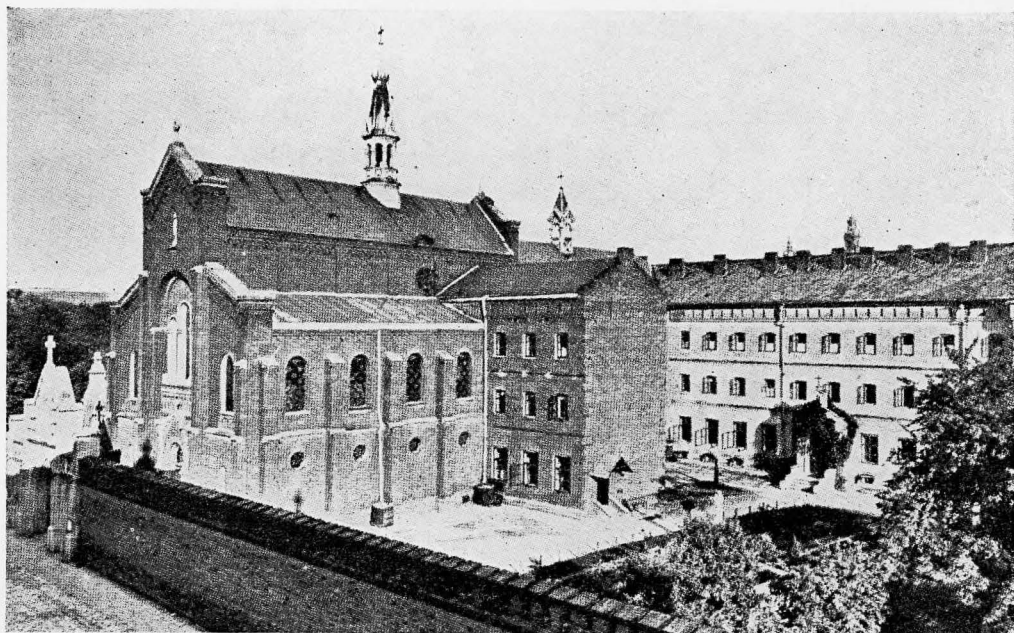
GORLIWOŚĆ i zdolności ks. Dąbrowskiego były niepospolite. Nie tylko jako dobry duszpasterz troszczył się o zbawienie powierzonych mu parafian, ale także starał się o dźwignięcie ich pod względem umysłowym i materialnym.

Uczył ich ulepszonej, rozumnej gospodarki, lepszej uprawy roli, korzystnej hodowli bydła, znajomości ziół leczniczych, zasad higieny. W potrzebie nawet sam leczył.

Z chłopcami urządzał wycieczki nad rzeki Wolf i Little Wolf, gdzie zrywał rosnącą tam obficie wiklinę. Z tej wikliny uczył ludzi wyplatać koszyki nie tylko dla własnego użytku, ale i na sprzedaż w mieście. Pomagał farmerom oczyszczać grunta z kamieni. Kupował nawet proch i je rozsadzał, gdy były duże.

Ale przede wszystkim chodziło mu o kształcenie młodzieży. Więc też nie mając jeszcze budynku szkolnego, sprowadził dzieci do plebanii i zamienił ją na tymczasową szkołę. Nauczycielami byli: on sam, niejaki Kiedrowski i do języka angielskiego córka McGreara, który ofiarował grunt pod kościół.

Choć się ks. Dąbrowski w pracy dwoił i troił, nie mógł sam podołać zadaniom, jakie sobie wykreślił. Liczba parafian wzrastała, gdyż nawet dawni wrogowie się teraz do niego garnęli. Zrozumiał ksiądz, że pora na zrealizowanie tego, co już dawno postanowił.



KLASZTOR SIÓSTR FELICJANEK W KRAKOWIE NA SMOLEŃSKU

Otóż kiedy był w Krakowie przed wyjazdem do Ameryki, odprawiał codziennie mszę św. w kościółku sióstr Felicjanek na ulicy Smoleńskiej. Poznawszy siostry, postanowił je kiedyś sprowadzić sobie do pomocy w pracy nad polskimi emigrantami w Ameryce. Już wtedy przewidział, czego emigracji polskiej potrzeba będzie. Teraz zdecydował, że pora je sprowadzić.



MATKA KAJETANA



MATKA MONIKA

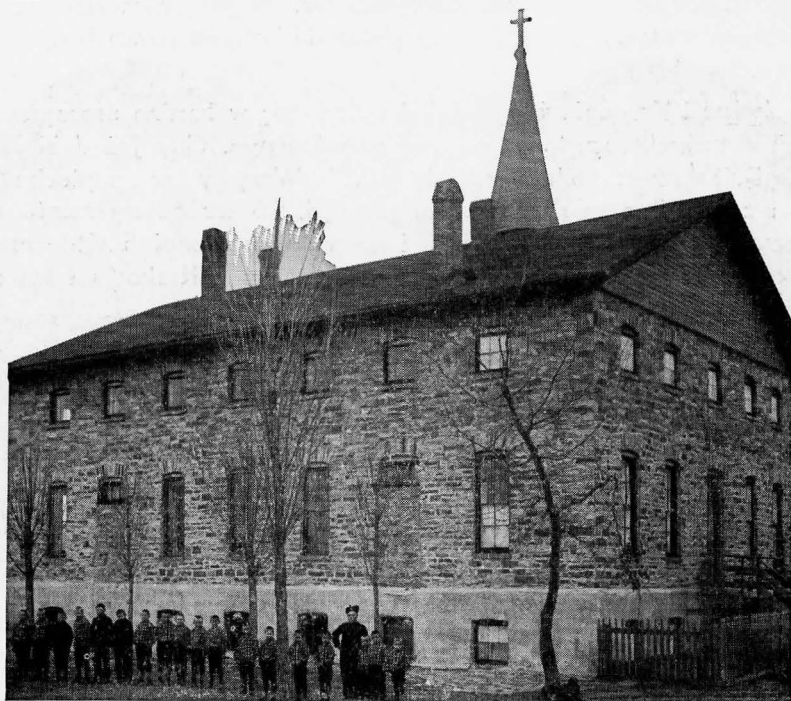
W gorących słowach przedstawił swą prośbę Matce Generalnej Zgromadzenia Sióstr Felicjanek — tak gorących, że Matka Generalna nie umiała mu odmówić, więc też w stosunkowo krótkim czasie otrzymał list z Krakowa z przychylną odpowiedzią.

Wnet też pięć sióstr wybrało się w drogę. Zaopatrzone w skromne dobra materialne, z których najcenniejsze były prawdopodobnie książki, w roztropne rady ks. Dąbrowskiego i Matki Generalnej, ich błogosławieństwo, w modlitwy sióstr, które opuszczały, a przede wszystkim w ducha ofiary i żywą wiarę w Opatrzność Bożą szły naprzód, gdzie je wola Boża i potrzeby rodaków wzywały.

Wieczorem w wigilię Ofiarowania Matki Bożej, to jest 20 listopada 1874 roku przybyły te pierwsze polskie w Ameryce siostry do Polonii. Od tej chwili zaczyna się nowa karta w dziejach Polonii amerykańskiej, księdza Dąbrowskiego i sióstr Felicjanek. Odtąd ich losy będą nierozłączne.

Z przybyciem sióstr przybyła ks. Dąbrowskiemu pomoc, ale przybyła też i nowa troska, nowe obowiązki: przybyła mu odpowiedzialność za wzrost i rozwój nowego szczepku Zgromadzenia Sióstr Felicjanek, z czego jasno on sobie zdawał sprawę. Toteż otoczył siostry taką troskliwością i taką miłością, że zyskał sobie nazwę "Ojca", którą do końca życia siostry go czule nazywały i dotąd nazywają.

Ogniowa próba



KLASZTOR W POLONII, WIS.

CHOĆ ks. Dąbrowski oddał się cały swoim parafianom, choć poświęcił im swoje zdolności i siły, i zdrowie, i czas, to jednak zupełnie wszystkich nie zdołał pozyskać. Długoletnie pozbawienie opieki duchownej, Sakramentów świętych utrwaliło w złym niektórych, a gorliwość proboszcza budzącego ich sumienia coraz bardziej ich drażniła, więc też gwałtem chcieli go zmusić do milczenia, do zostawienia ich w spokoju.

I tak, pewnej zimowej niedzieli, gdy ks. Dąbrowski po sumie udał się do kancelarii, w kuchni plebanii nastąpił straszliwy wybuch z pieca. W jednym momencie kuchnia została zasypana kawałkami rozerwanego pieca i żarzącymi się głowniami. Jeszcze moment, a cała stanie w płomieniach. Tylko przytomność umysłu proboszcza, który na głos wybuchu wpadł momentalnie do kuchni, i pomoc parafian zdołały uratować plebanię od spłonięcia. Jak się potem okazało, katastrofę spowodował proch umieszczony przez złych ludzi w drzewie opałowym.

Innym razem lepiej osiągnęli skutek. . . Było to tak. Na wiosnę po przybyciu siostr ks. proboszcz z pomocą parafian wystawił siostrom klasztor, w którym prócz klauzury znajdowała się jeszcze kapliczka, sale klasowe i mały pokój dla proboszcza. Plebania bowiem, w której siostry zrazu mieszkały, spaliła się jeszcze

zimą z powodu wadliwej budowy komina, a ksiądz i siostry znaleźli przytułek u parafian.

Wkrótce po przeniesieniu się do nowej siedziby miały siostry uroczyste obchodzić dzień św. Feliksa, patrona Zgromadzenia. Na ten dzień, to jest 18 maja, wyznaczył też ks. proboszcz pierwszą Komunię świętą dzieci od dawna się już do tej uroczystości przygotowujących. Zarządził też, że po uroczystej mszy świętej w kaplicy sióstr wszyscy przejdą przez drogę do kościoła parafialnego na majowe nabożeństwo.

Msza święta i Komunia święta dzieci odbyły się w bardzo uroczystym nastroju, a potem w kościele zaczęło się majowe nabożeństwo. Gdy już dobiegało końca, nagle rozległ się krzyk: "Klasztor się pali!" Wszyscy w popłochu wybiegli z kościoła i z nieopisanym przerażeniem patrzyli, jak straszliwy żywioł zamieniał ładny klasztor i cały dobytek księdza i sióstr na kupę popiołu. Zdołano wyratować tylko obraz św. Józefa przywieziony przez siostry z Krakowa i kilka książek.

Wtem spostrzeżono płomień na dachu kościoła. Wszyscy rzucili się ratować, co się da. Wnet płomień cały kościół ogarnęły. Ksiądz proboszcz, wyjąwszy Najświętszy Sakrament z tabernakulum, chodził bezradnie tuląc Go do serca. Nie było gdzie umieścić Pana Zastępów. . .

Wkrótce na miejscu kościoła i klasztoru zostały tylko tlejące się zgliszcza, a Król nieba i ziemi i Jego wierni słudzy zostali bez dachu nad głową.

Czy załamał się ks. Dąbrowski? Albo chociażby uległ zniechęceniu?

Podpalaczom wspaniałomyślnie krzywdę wybaczył i w najbliższą niedzielę omówił z parafianami plan budowy nowego kościoła, plebanii i klasztoru . . .



CZĘŚĆ OGRODU W POLONII, WIS.

Apostół Indian

WIELKIE serce ks. Dąbrowskiego obejmowało nie tylko parafię. Choć poświęcił się głównie emigrantom polskim, to przecież jak prawdziwy uczeń Chrystusa i kapłan katolicki ludzkość całą obejmował miłością serca swego. Dlatego dowiedziawszy się, że niedaleko Polonii znajduje się obóz Indian, natychmiast pospieszył zawrzeć z nimi znajomość, która wkrótce stała się szczerą przyjaźnią.

Jedna z żyjących dotąd wychowanek sióstr zapewnia, że w okolicy znajdowały się setki czerwonoskórych Indian. Jako dziecko była świadkiem wędrówki całego obozu z jednej okolicy w drugą. Droga prowadziła koło gospodarstwa jej rodziców. Pamięta, że jak w południe rozpoczął się ten pochód, to trwał do samego zmierzchu.

Ksiądz Dąbrowski chcąc pozyskać ich dusze dla Boga, żywo interesował się ich życiem, kłopotami, biedą. Oświecał ich ciemnotę i wspierał ich nędzę. Jednym słowem, szedł śladami wielkich apostołów Indian.

Często miał śmieszne z nimi przygody. Raz na przykład przyszła do niego stara Indianka z pękiem różnych plecionych koszyków, prosząc, aby ksiądz kupił choć jeden. Wybrał więc jeden nadający się do składania listów i tym podobnych drobnostek. Cena koszyczka wynosiła pięćdziesiąt centów. Ale Indianka nie знаła wartości różnych monet. Dla niej pięćdziesiąt centów to pięćdziesiąt pojedynczych sztuk.



Ks. Dąbrowski miał tylko czterdzieści pojedynczych centów, więc dodał dwie dwucentówki. Lecz tego Indianka nie chciała przyjąć. Powtarzała, że jej się należy pięćdziesiąt centów, nie czterdzieści osiem. Nie mogąc jej przekonać, że wartość pieniędzy nie tylko od liczby sztuk pieniężnych jest zależna, dodał jeszcze dwie sztuki pięciocentowe, jakie posiadał, i tak dopiero ją uspokoił, że wypłacił jej pięćdziesiąt centów.

Innym razem chcąc nauczyć Indian hodowli kartofli, zawiózł im pełen worek tychże. Część upiekł na ogniu i dał im do skosztowania. Gdy przyznali, że to wyśmienita potrawa, resztę w ich oczach zasadził w ziemi, zapewniając, że za kilka miesięcy będą ich mieć dużo do jedzenia. Cóż, kiedy kilka miesięcy to długi okres czasu, a im kartofle teraz smakowały. Skoro więc ksiądz odszedł, odgrzebali te, które zasadził, upiekli je i zjedli.

Ks. Dąbrowski stawał się coraz częstszym gościem wśród Indian. Brał udział w ich zabawach i weselach. Zasiadał z nimi do uroczystych biesiad, na których podawano pieczeń z psa specjalnie na uczczenie "wielkiego gościa" zabitego. Nieraz wraz z "Czarną-suknią", jak go nazywali, wybierały się w gościnę do Indian także siostry i wychowanki. Na taką wizytę przynosiły z sobą kosze wypełnione przez Matkę Monikę różnymi przysmakami. Wtedy Indianie witali "familiję Ojca" radosnymi okrzykami, skokami i tańcami.

Zjednawszy sobie pełne zaufanie tych czerwonoskórych braci, począł teraz ks. Dąbrowski nauczać ich o prawdziwym Bogu. Dużą pomocą był mu w tej pracy pewien niewidomy Indianin dobrze znający język angielski. Służył on "Ojcu" jako tłumacz. Z czasem ks. Dąbrowski sam nauczył się ich języka i nawet ułożył mały słownik dla siebie i sióstr. Wkrótce też mógł przystąpić do chrzczenia Indian. Nowonawróceni odznaczyli się szczerą pobożnością. Przychodzili do kościoła nie tylko w niedziele, ale i w dni powszednie. Wódz Indian nawet oddał swoje córeczki, Ewę i Małgorzatę, siostronom na wychowanie. Niestety, miłe te dziewczątka, na które ks. Dąbrowski liczył, iż będą apostołkami Indian, tak tęskniły za swobodą na łonie przyrody, że po pewnym czasie wróciły do rodziny.

Po ochrzczeniu Indianina ks. Dąbrowski obdarzył go jakimś pożytecznym upominkiem. To się niektórym tak podobało, że po kilka razy przychodzili do chrztu, inaczej malując twarz za każdym razem, żeby ich "Ojciec" nie poznał.

Pięknie byłaby się rozwinęła chrześcijańska osada Indian, gdyby nie to, że wzrastająca kolonizacja białych zmusiła ich do odejścia z dużym żalem w inną okolicę.

Wnet też i ks. Dąbrowski zmuszony został powędrować w inne strony . . .

Przyjaciel dzieci



KLASZTOR W DETROIT, MICH.

tam klasztor z nowicjatem, internatem i sierocińcem, ks. Dąbrowski zrezygnował z probostwa w Polsce i przeniósł się do Detroit.

Zamieszkawszy w maleńkiej kapelanii wystawionej w ogrodzie klasztornym, był odtąd do końca życia duszą klasztoru: kapelanem, spowiednikiem, wychowawcą, dyrektorem i profesorem seminarium nauczycielskiego dla kandydatek na siostry, dyrektorem sierocińca, doradcą Matki Prowincjalnej, elektrotechnikiem, ślusarzem, cieślą, stolarzem — słowem, wszystkim dla wszystkich.

Ślusznie nazywano go "Ojcem". Ale ten "Ojciec", choć wszystkich serdecznie kochał, przecież najczulej ukochał dzieci. Na widok dziecka jego dobre oczy zawsze się ożywiały, nabierały jaśniejszego blasku. Nie dziw, że tak sierotki jak i internatki z największym zaufaniem zwierzały mu się z swoich zmartwień i żalów, pragnień i tęsknot, niedomagań i bólów — i zawsze odchodziły pocieszone, uspokojone, zadowolone. Ileż to razy uniknęły kary, bo "Ojciec" wziął je w obronę!

"Ojciec", gdyby to było możliwe, ściągałby im gwiazdki z nieba. Tego nie mógł, ale mógł za to z kieszeni wyciągać różne słodczyce. Przy stole jadł tylko najprostsze potrawy, wszystkie zaś przysmaki wędrowały do jego kieszeni, a stamtąd do rąk dzieci. Jeżeli nie miał dosyć, kupował cukierki, a najczęściej owoce suszone — jako zdrowsze — i przynosił dzieciom.

Był ogromnie wyrozumiały na ich uchybienia i miał duże poczucie humoru.

Jeszcze w Polsce będąc mieszkał przez jakiś czas w pokoju naprzeciw sypialni dziewczynek. Były to dziewczęta, które mieszkały daleko od szkoły i dlatego pozostawały na noc u sióstr. Wieczorem jedna ze sióstr mówiła z nimi pacierz i układała je do snu.

Nieraz, gdy siostra — pewna, że jej dzieciarnia już usypia — wyszła ze sypialni, dziewczątka wyskakiwały z łóżek, ubierały się i na nowo zaczynały rekreację.

Jednego wieczora było tego może już za wiele, bo raptem otwierają się drzwi i w progu staje ksiądz. W oka mgnieniu, jak myszy spłoszone przez kota, wszyst-

KILKANAŚCIE lat ciężkiej pracy w niesprzyjających zdrowiu warunkach tak poważnie podkopały zdrowie ks. Dąbrowskiego, że lekarze polecili wyjazd w cieplejszą okolicę. Ponieważ siostry Felicjanki, których liczba znacznie wzrosła już od 1874 roku, uczyły w Detroit, a obecnie budowały

kie wskoczyły do łóżek, ukryły się pod kołdry i z najwyższą trwogą czekały, co nastąpi. Jedna tylko Brygidka (obecnie jubilatka Matka Maria Katarzyna) najhałaśliwsza tego wieczora, nie zdążyła umknąć, gdyż znajdowała się tuż przy drzwiach w chwili, gdy zostały otwarte. Bez słowa wziął ją ksiądz za rękę i uprowadził z sobą do kancelarii. Przez chwilę panuje w sypialni grobowa cisza, wśród której rozlega się głuchy stukot przerażonych serduszek. Nagle otwierają się drzwi i z tłumionym pisaniem wpada Brygidka wywijając paczką cukierków, którą jej ksiądz polecił sprawiedliwie rozdzielić między winowajczynię! . . .



PIERWSZA SIEROTKA
Mania Kudła

W Detroit początkowo dostawały sierotki na śniadanie czyste mleko, później, gdy się ich liczba zwiększała, dawano im kaszkę lub zacierkę zalewaną mlekiem. Że im to nie smakowało, wydały się przy nadarzonej okazji.

Raz przybyło kilku obcych księży, których ks. Dąbrowski oprowadzał po sierocińcu. Wdawszy się w rozmowę z malcami, jeden z księży zapytał:

— A co miałyście dziś na śniadanie? Mleko?

— Nie — odpowiedziały.

— Nie? . . . Nie dostałyście mleka na śniadanie?

— Nie, bo krowki już teraz nie dają mleka, tylko zacierkę. — odpowiada ze smutną miną czteroletnia Anielka (obecnie jubilatka Matka Maria Rajmunda).

Księża wybuchają serdecznym śmiechem. Najserdeczniej zaś śmieje się ks. Dąbrowski.

Ogromnie lubił sprawiać dzieciom niespodzianki i z bijącym sercem wyczekiwał na rumieńce radości wykwitające na ich twarzyczkach, gdy spostrzegły coś nieoczekiwanego, a bardzo dla siebie miłego.

Po przyjeździe siostr do Ameryki, umówił się z siostrami, że sprawią dzieciom szkolnym niespodziankę na Boże Narodzenie. W ostatni dzień nauki przed świętami, kiedy siostry zebrały wszystkie dzieci przed drzwiami największej sali klasowej, nic nie mówiąc, dłaczego, nagle ukazał się we drzwiach ksiądz i radosnym gestem zaprosił dzieci do wejścia.

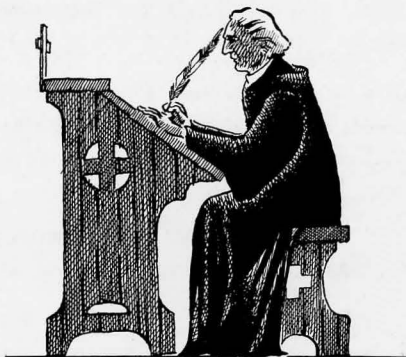
Jakież radosne zdumienie odbiło się na ich twarzyczkach, gdy ich zaciekawione oczęta ujrzaly jarzącą się choinkę obwieszoną bajecznie kolorowymi wycinankami z papieru i małymi paczkami zawierającymi prezenty. Każde dziecko otrzymało bardzo skromny podarunek, bo tylko paczkę opłatków wigilijnych, obrazek Dzieciątka Jezus (odbity w drukarni ks. Dąbrowskiego) i jeden cukierek, ale dar był tak niespodziany! . . . Stąd radość nieopisana. A o nią — właśnie chodziło księdzu Dąbrowskiemu.

Nauczyciel-wychowawca

Polska emigracja w Ameryce winna zapewnić dzieciom swoim wykształcenie, aby nie ustępować innym narodowościom.

Wyższe wykształcenie młodzieży na wyychodźstwie w Ameryce powinno być przeprowadzone zawsze w duchu narodowym polskim i katolickim.

(Słowa ks. Józefa Dąbrowskiego)



MAŁO kto tak dobrze pojmował potrzebę oświaty dla polskich emigrantów w Ameryce jak właśnie ks. Dąbrowski. Potrzebę szkoły stawiał tuż obok potrzeby kościoła. Objąwszy parafię w Polonii, ledwie uporządkował kościół, zaraz w plebanii otworzył szkołę. Wkrótce sprowadził siostry Felicjanki do nauczania dzieci.

Jak do każdej pracy tak i do szerzenia oświaty zabierał się od podstaw. Zakupił małą drukarnię, na której z pomocą sióstr drukował kalendarze, drobne pocuczające broszurki i podręczniki szkolne, kompilowane przez siostry z różnych podręczników przywiezionych z Polski. Ciekawe, że w pierwszym kalendarzu, jaki wyszedł z tej drukarni, znajdowało się prorocтво świętego Andrzeja Boboli o zmartwychwstaniu Polski.

Ks. Dąbrowski się też w dużej mierze przyczynił do założenia seminarium dla kształcenia nauczycielek zakonnych przy klasztorze w Detroit i o legalizowanie go przez stanowe władze szkolne w Lansing w roku 1889. Na siebie też przyjął większość wykładów w tym seminarium.

Bo też był pedagogiem niepospolitym, dzięki dużym wrodzonym zdolnościom, gruntownemu wykształceniu, rozległej wiedzy i bogatemu doświadczeniu. A jeszcze ciągle wzbogacał wiedzę lekturą, zwiedzaniem wystaw i doświadczeniami, bo z natury był do wszystkiego ogromnie ciekawy. Z zamiłowaniem robił różne doświadczenia z zakresu fizyki i chemii, jego ulubionych przedmiotów. W ostatnich zaś tygodniach życia rozczytywał się w historii starożytnej i archeologii. Śledził pilnie zdobycze naukowe i wynalazki na szerokim świecie i zdobytymi wiadomościami dzielił się zaraz z uczennicami.

Wykłady jego nigdy nie były suchą teorią, bo z natury był bardzo praktyczny. Toteż metoda poglądowa miała szerokie zastosowanie w jego wykładach. Lekcje z nim miały cechy rozrywki i dlatego nigdy nie nużyły. Na odwrót, zabawy, jakie wymyślał na rekreacjach, miały cechy pracy, bo obok celu rozrywkowego miały przeważnie i cel naukowy.

Usilnie się o to starał, by przyszłe nauczycielki miały wszechstronne wykształcenie, więc też nie poprzestawał na tak zwanych przedmiotach szkolnych. Uczył na przykład ogrodnictwa, posługiwania się aparatem fotograficznym, wywoływania klisz i robienia odbitek, elektromechaniki, a nawet ślusarki — rzecz na owe czasy niestychana w żeńskich szkołach! Wtedy, kiedy na ogół uczono dziewczęta

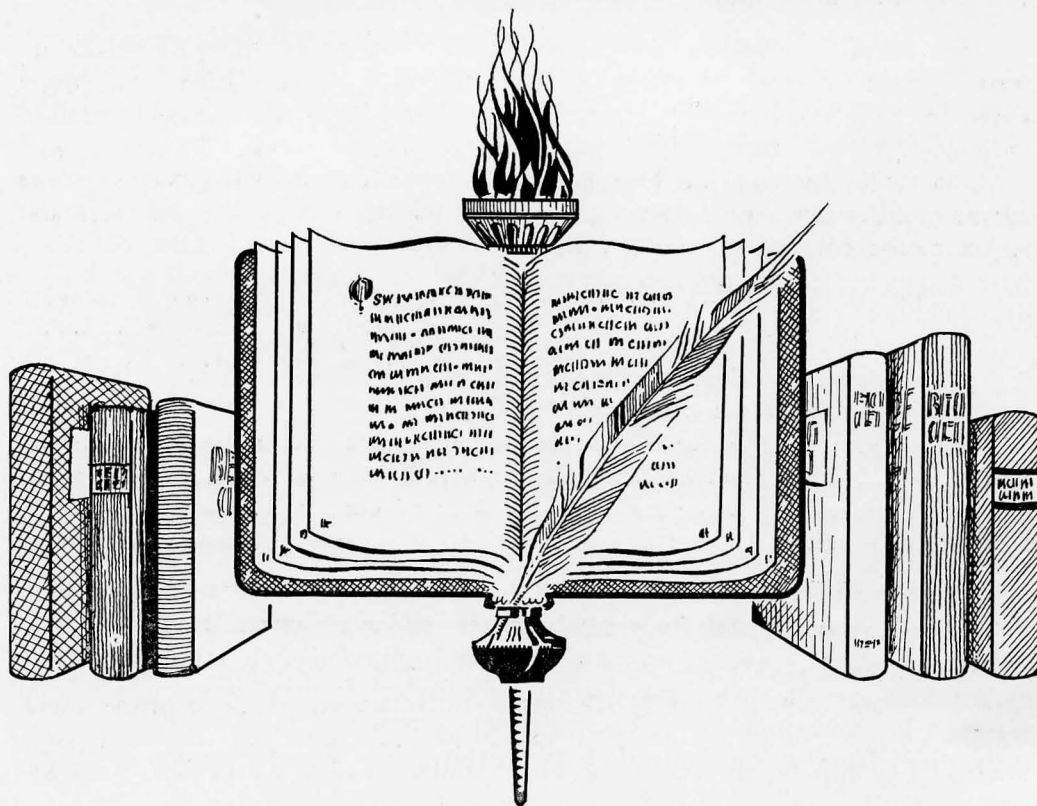
pięknych haftów, szydełkowych robót, tańców — uczennice księdza Dąbrowskiego uczyły się lutowania rur, reperowania instalacji elektrycznych!

Sprzyjał widać emancypacji kobiet. . . Nie znaczy to jednak, żeby z programu nauk wykluczał tak zwane roboty kobiece. Przeciwnie, nawet się nimi dość interesował, szczególnie pięknymi haftami, które siostry z uczennicami wykonywały. Miał duże poczucie piękna. Sam pięknie rysował i często wykonywał bardzo oryginalne kompozycje rysunkowe — nie znosząc kopiowania.

Jako nauczyciel-wychowawca wywierał silny wpływ na klasę, bo umiał wzbudzić entuzjazm do wszystkiego, do czego się sam zapalał.

Szczególnie silny wpływ wywierał jego gorący patriotyzm na otoczenie. Do obchodu dwusetnej rocznicy zwycięstwa Sobieskiego pod Wiedniem w 1683 roku potrafił tak wszystkich polskich obywateli miasta Detroit zapalić, że nie tylko liczne uroczyste akademie urządzono, ale jeszcze wystrojono polskie dzielnice miasta sztandarami polskimi. A już ulica St. Aubin, na której znajdował się klasztor, daleko rozbrzmiewała poszumem skrzydeł Orła Białego. Na dłuższy czas przed obchodem dniami i nocami szyły siostry z wychowankami sztandary polskie — bo tyle było zamówień! A na każdym musiał być Orzeł Biały . . . Toteż rysował ks. Dąbrowski mniejsze i większe orły i pilnował, żeby ściśle według tych wzorów wycinano je z płótna białego.

A kiedy powstało seminarium duchowne i przybyły mu obowiązki rektora, nauczyciela i wychowawcy studentów, oddał się im z ojcowską miłością, o czym wymownie świadczył napis na kwiatkach złożonych u trumny: Ojcu Naszemu!



Twórca seminarium polskiego

JESZCZE ze studiów swych w Rzymie wyniósł ks. Dąbrowski przekonanie, które się potem w Ameryce utrwaliło, że jeżeli nad emigrantami polskimi nie roztoczą opieki księża polscy, to zginą oni nie tylko dla Polski, ale i dla Kościoła. Słowo Boże podane w języku ojczystym najgłębiej wnika do duszy. Tylko polski ksiądz może znać gruntownie duszę Polaka z jej kulturalnymi zasobami i brakami i on jeden może wiedzieć, jak pierwsze wzbogacać, a drugie usuwać.

I widział ks. Dąbrowski, że pracy nad szybko wzrastającą emigracją polską nie podołają nieliczni księża przyjeżdżający z Europy. Toteż konieczność założenia w Ameryce polskiego seminarium duchownego dla kształcenia polskiej młodzieży była dla niego oczywistą.

Gdy zatem ks. Leopold Moczygęba z upoważnieniem Rzymu zbierający składki na budowę polskiego seminarium duchownego w Ameryce, nie czując się na siłach do wykonania dzieła tak trudnego, chciał złożyć ten ciężar na barki człowieka odpowiedniejszego, wybór jego słusznie padł na ks. Dąbrowskiego. Suma, którą otrzymał ks. Dąbrowski, była daleką od potrzebnej na założenie tak kosztownej instytucji, toteż długi jeszcze musiał na ten cel kwestować.

Była to praca uciążliwa, bo do płóciennego worka, jaki z sobą na kwestę zabierał, wpadały przeważnie ofiary centowe. Nachodziwszy się dzień cały, wracał wieczorem do klasztoru śmiertelnie znużony. Siostry podawały mu lekki posiłek, a gdy on jadł, brały się do liczenia zawartości płóciennego worka. Wieczór za wieczorem wysypywały się z worka same rudawe miedziaki, a tylko gdzieś niegdzieś zabłysła nikłowa czy srebrna moneta . . . Jakże się cieszył "Ojciec", gdy tych srebrnych monet było czasem nieco więcej!

Z takich to ciężkich ofiar ciężko pracujących, a mało zarabiających rodaków wyrosły wkrótce wspaniałe mury instytucji, która była i jest ogniskiem kultury i oświaty dla Polaków w Ameryce. Widać, szczerze były te ofiary, skoro wydały tak piękny owoc.

Gdy wreszcie budowa się rozpoczęła, ks. Dąbrowski jak zwyczajny robotnik pracował na równi z budowniczymi. A wieczorami zbierał z okolicy starszych chłopców i mężczyzn i wraz z nimi znosił cegłę na budowę i układał ją w stopy, aby murarze drugiego dnia mieli ją pod ręką i zatem szybciej pracowali.

Wreszcie stanął duży gmach polskiego seminarium duchownego na St. Aubin pomiędzy Garfield i Forest. Poświęcenie odbyło się 15 grudnia 1887 roku.

Seminarium nazwano imieniem świętych Cyryla i Metodego dlatego, że ci dwaj uczeni apostołowie Słowian tak doskonale rozumieli, iż za pomocą języka ojczystego najlepiej trafi się do duszy narodu, że sami gruntownie studiowali język Słowian. A nowopowstałe seminarium miało właśnie za główne zadanie kształcić ka-

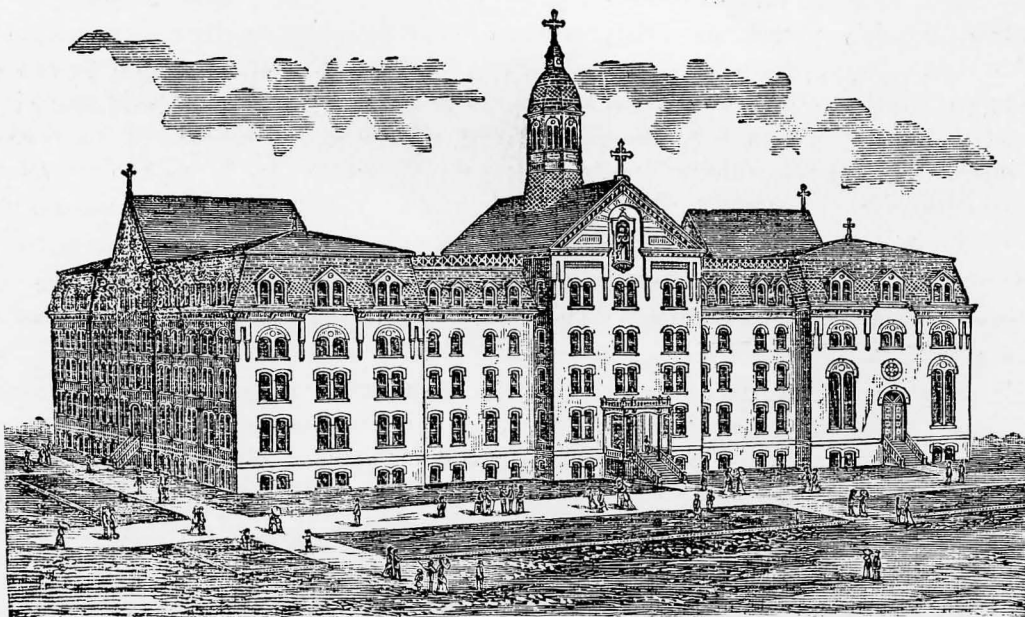
kapłanów w języku polskim, aby mogli być dobrymi duszpasterzami Polaków w Ameryce.

Ale przecież same wystawienie murów nie wystarczyło. Trzeba było zdobyć przybory naukowe, dobrać profesorów, zorganizować kursy i tym podobne prace jeszcze wykonać.

Wszystko to wykonał ten niezwykle pracowity człowiek. Wkrótce też mury napełniły się młodzieżą, a dziś liczymy wychowanków tegoż seminarium na kilkanaście tysięcy. Nie wszyscy zostali księżmi. Wielu zajęło wysokie stanowiska cywilne.

Po śmierci ks. Dąbrowskiego w 1909 roku przeniesiono seminarium do Orchard Lake, Mich., gdyż szybko rozrastające się miasto Detroit takim ciasnym kołem gwaru i dymu otoczyło tę instytucję, że dla dobra nauki i zdrowia studentów należało zmienić siedzibę.

Seminarium powstało z ciężkich ofiar Polaków w Ameryce, jest zatem i zawsze będzie ich moralną własnością. Toteż trzeba, żeby o tym wiedziały młodsze generacje i jak ich ojcowie otaczali to seminarium swą zawsze troskliwą życzliwością.



SEMINARIUM POLSKIE PRZY ST. AUBIN I FOREST UL.

“Józefie, gotuj się, bo umrzesz”.

Nie lękam się śmierci, bo wszakże ona od Boga pochodzi. Uważam ją raczej za przebudzenie się po ziemskim żywocie, który jest rzeczywiście snem.

(Słowa ks. Józefa Dąbrowskiego)

NA trzy lata przed śmiercią ks. Dąbrowski usłyszał jak najwyraźniej głos swego kolegi, ks. Leopolda Moczygęby, zmarłego od kilkunastu lat: “Józefie, gotuj się, bo umrzesz”. Nie ochłonał jeszcze z wrażenia, a tu powtarza się po raz drugi i trzeci słowo w słowo.

Ks. Dąbrowski nie należał do ludzi łatwowiernych, ale tym głosem przejął się do głębi. Wstrząs, jakiego doznał, nie podzielał jednak przygnębiająco, przeciwnie, zdwoił w nim energię. Z wzmożoną troskliwością doglądał wszystkiego, zaprowadzał nowe urządzenia w pralni i w kuchni, tudzież oświetlenie elektryczne po klasztorze (co podówczas było jeszcze nowością), w ogrodzie sadził drzewka, zakupił ławki ogrodowe, odnowił chodniki, słowem, jawnie gotował się do odejścia. Trzykrotne ostrzeżenie uważał jako okres czasu w liczbie trzy, a więc: trzy dni, trzy tygodnie, trzy miesiące lub trzy lata. Gdy nadszedł trzeci rok od owego ostrzeżenia, pracował, jakgdyby już miał bardzo mało czasu na wykończenie pracy. Podczas wakacji pomagał siostrze w nauce, zachęcał do zadawania pytań — “bo ja z siostrami zawsze nie będę”. . .

Nic jednakże nie zapowiadało odejścia. Nawet zdrowie służyło mu lepiej niż kiedykolwiek. Odwiedzając w tym czasie swego przyjaciela, ks. Jana Pitassa w Buffalo, w toku rozmowy wyraził się: “Tak, teraz kiedy się już dzięki Bogu wszystko doprowadziło do porządku, poznało się maszyny elektryczne, z którymi umiem się obchodzić — teraz trzeba umierać.” Mówił to w poważnym nastroju i głęboko zamyślony.

Ponieważ już blisko trzy lata ciągle śmierć wspominał, wszyscy się do tego tak przyzwyczaili, że nawet niewiele zwracali już uwagi. Toteż gdy rzeczywiście śmierć przysła, zaskoczyła wszystkich jak grom z pogodnego nieba. Tylko księdzu Dąbrowskiemu nie sprawiła ona niespodzianki. Czekał na nią . . .

OSTATNIE DNI ŻYCIA

W niedzielę dnia 8 lutego roku 1903 wygłosił ks. Dąbrowski ostatnie swoje kazanie w kaplicy klasztornej. Nawiąawszy do tekstu Ewangelii: Wielu wezwanych, lecz mało wybranych — mówił o wartości czasu. Po kilka razy powtarzał upomnienie, aby wykorzystać każdą chwilę dla wieczności, bo nie wiadomo, która ostatnią będzie. Po nabożeństwie wyraził się do sióstr, że słyszał tylko echo tego, co mówił — tak był przejęty. Wszystko, co mówił, do siebie samego odniósł. Dla siebie wygłosił to kazanie . . .

W poniedziałek po owym ostatnim kazaniu krzątał się jak zwykle po klasztorze, zaglądał do każdego kąta i kącika jakby na pożegnanie. Spotkawszy przy maszynach siostrę, którą się zwykł posługiwać, zapytał zniecka, czy wie, co to jest syllogizm. Siostra odpowiedziała, jak umiała. Ksiądz wziął opodal leżącą gazetę i na niej napisał: Każdy człowiek jest śmiertelny. Ja jestem człowiekiem; więc jestem śmiertelny.

Potem żegnając siostrę powiedział, że się już więcej przy tej maszynie nie zobaczy. Przerazona siostra zapytała: Czy Ojciec umrze? I dodała: Byłabym niepokieszona. Na to ks. Dąbrowski: Nie wolno siostrze ani jednej łzy uronić — i chciał, aby mu to przyrzekła; lecz siostra odparła, iż tego nawet pomyśleć nie może. I rzeczywiście było to ostatnie spotkanie...

Po całodziennym krzątaniu, gdy się już zabierał do odejścia z klasztoru, dostał ataku serca i spadł ze schodów, po których właśnie na dół schodził. Internatce, która była tego świadkiem, nie pozwolił jednak sióstr alarmować. Dźwignął się i odszedł do seminarium. Nazajutrz już się nie pokazał w klasztorze. Posłano do seminarium i dowiedziano się, że Ojciec wcale tego dnia nie wstał, bo jest chory, lecz o niebezpieczeństwie nie wspomniano. W środę wyświadał się na śmierć. Siostry odtąd całymi dniami przebywały u chorego, a nocę zastrzegł sobie profesor Romuald Piątkowski, serdeczny przyjaciel, który otaczał swego rektora podziwu godną czułością i umiejętną troskliwością. Również ks. Witold Buchaczkowski, wicerektor, prawie nie odstępował łoża. W piątek wieczorem przybył do chorego biskup Foley. Wszyscy mimo ożywienia chorego z racji tej wizyty zdawali sobie sprawę, że stan jego jest beznadziejny.

ŚMIERĆ

W sobotę wieczorem odwiedził chorego dr Lachajewski ze specjalistą i orzekł, że jeżeli atak sercowy powtórzy się raz jeszcze, nastąpi śmierć. Lecz tę wiadomość zachowano w tajemnicy przed siostrami. Siostry jednakże już nie odstępowały łoża, nawet i w nocy, którą chory spędził niespokojnie, kłopotząc się nieustannie o to, że naraża siostry na czuwanie. Jak mógł, bawił je i zajmował nawet matematyką, co się mu już nie bardzo udawało — tak był osłabiony. Nad ranem, około godziny szóstej naglił, aby się siostry udały do kaplicy na mszę św., obiecując, że on się tymczasem zdrzemnie. Długo się siostry upierały, lecz wkońcu uległy i poszły na mszę św. do przyległej kaplicy.

Wkrótce nadeszły dwie inne siostry z klasztoru. Wchodzą cichutko do sypialni . . . i . . . o zgrozo! — zastają chorego leżącego na podłodze w kapocie i obuwiu, z głową opartą o ścianę. Na alarm przybyli natychmiast księży. Ks. Buchaczkowski posłał po lekarza, a sam tymczasem namaścił olejami świętymi nieruchomego już Rektora. Gdy lekarz nadszedł, stwierdził już tylko śmierć.

Było to w pamiętną niedzielę, dnia 15 lutego 1903 roku.

Odszedł strudzony pracą, złamany cierpieniem, którego mu życie nigdy nie szczydziło, szczególnie w ostatnich dniach życia . . . a równocześnie bogaty w zasługi. Odszedł wziąć nagrodę z rąk Pana — ten Sługa dobry i wierny.

Pogrzeb

ZGON ks. Dąbrowskiego odbił się żałobnym echem w sercach wszystkich, którzy go znali. Wszyscy spieszyli do jego trumny, by dać wyraz uznania, jakie dla niego w sercu mieli.

Pierwszy przybył ks. biskup J. S. Foley. A potem aż do pogrzebu liczne tłumy przesuwały się obok katafalku, na którym teraz z majestatem śmierci na obliczu leżał ten w życiu prosty i skromny, bo swej wielkości nieświadomy, kapłan. Studenci zmieniając się kolejno tworzyli straż honorową przy zwłokach.

W poniedziałek przeniesiono czcigodne zwłoki do kaplicy sióstr Felicjanek, a we wtorek do kościoła św. Wojciecha, skąd we środę po uroczystej mszy św. celebrowanej przez ks. bpa Foley'go przeniesiono je na cmentarz Mt. Elliott i złożono tymczasowo w mauzoleum cmentarnym.

W lipcu 1915 roku odbyły się ponowne uroczystości w kościele ojców Kapucynów i złożono zwłoki we własnym grobie przykrytym kamienną płytą.

W 1915 roku siostry Felicjanki postawiły duży kamienny krzyż nad grobem swego nieodżałowanego "Ojca".

"W wiecznej pamiętce żyć będzie — bo umiłował miliony dla Boga."



INTERNATKI NA GROBIE OJCA DĄBROWSKIEGO

Daty z życia ks. Józefa J. Dąbrowskiego godne zapamiętania.

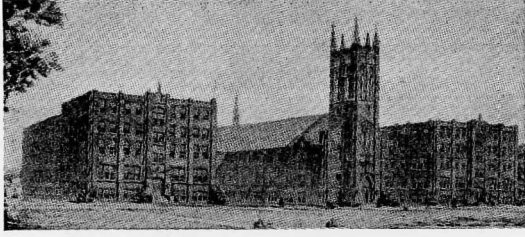
- 1842, 19 stycznia Ksiądz Józef J. Dąbrowski rodzi się w Żółtańcach, Polsce. Nauki gimnazjalne pobiera w Lublinie, uniwersyteckie w Warszawie.
- 1863 Bierze czynny udział w powstaniu styczniowym. Po upadku powstania wraca do Warszawy kończyć studia.
- 1866 Zdradzony jako powstaniec, uchodzi za granicę i kończy kurs matematyczno-techniczny w Lucernie i w Bernie.
- 1867 Postanawia zostać kapłanem. Wyjeżdża do kolegium OO. Zmartwychwstańców w Rzymie.
- 1869, 1 sierpnia Otrzymuje święcenia kapłańskie. Spotyka się w Rzymie z księdzem biskupem J. Melcherem z Green Bay, Wisconsin. Wyjeżdża do Ameryki.
- 1869, 31 grudnia Łąduje w Ameryce; jedzie do St. Francis, Wis.
- 1870 Zostaje mianowany proboszczem w Polonia, Wis.
- 1874, 15 maja Prosi Matkę Generalną Marię Magdalenę Borowską o siostry Felicjanki do swej parafii.
- 1874, 20 listopada Siostry Felicjanki przybywają do Polonia, Wis. Ksiądz ustępuje plebanię siostron (bo klasztorów niewykończony).
- 1879 Kupuje drukarnię i siostry wydają własne czytanki polskie dla dzieci.
- 1882, 4 paźdz. Poświęcenie i otwarcie klasztoru w Detroit.
- 1883, 4 września Opuszcza Polonię, by zająć miejsce dyrektora i kapelana Sióstr Felicjanek w Detroit, Michigan.
- 1884 Rozpoczyna budowę Wyższej Szkoły w Detroit, na rogu ulic — St. Aubin i Forest.
- 1885 Papież Leon XIII daje pozwolenie na założenie polskiego seminarium duchownego.
- 1887, 16 grudnia Poświęcenie Seminarium SS. Cyryla i Metodego w Detroit, Michigan.
- 1894, 1 sierpnia Jubileusz 25-letni kapłaństwa ks. J. Dąbrowskiego. Odbiera kablogram gratulacyjny od Papieża Leona XIII.
- 1903, 9 lutego Dostaje ataku serca.
- 1903, 15 lutego Umiera w Seminarium w Detroit, Michigan.
- 1903, 18 lutego Pochowanie zwłok prowizorycznie we wspólnym mauzoleum na cmentarzu Mt. Elliott, w Detroit, Mich.
- 1905, w lipcu Ponowne uroczystości pogrzebowe w klasztorze OO. Kapucynów i złożenie zwłok w prywatnym grobie na tymże cmentarzu.



FRAGMENTY ORCHARD LAKE

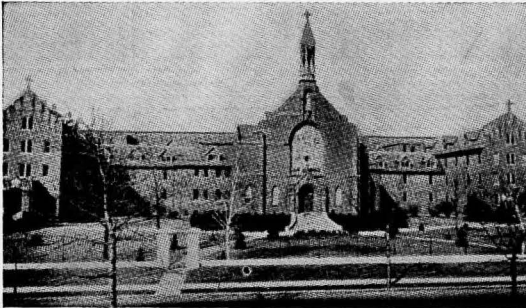


NOWY KLASZTOR PROWINCJI DETROICKIEJ

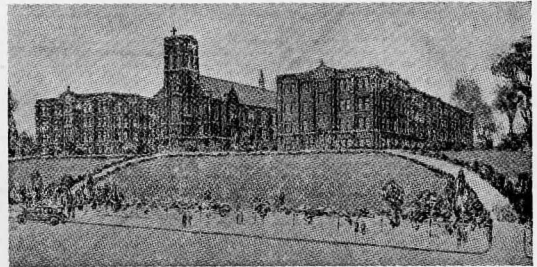


BUFFALO, N. Y.

CHICAGO, ILL.



LODI, N. J.



CORAOPOLIS, PA.



ENFIELD, CONN.

KU CZCI KS. J. DĄBROWSKIEGO

Maestoso

S.
S.

A.
A.

Fortepian

ff *rit.* *f a tempo*

cresc. *dim.* *mf*

cresc. *dim.* *mf*

cresc. *dim.* *mf*

mp *rit.* *a tempo* *mp*

mp *rit.* *a tempo*

1. *Cresc.* 2. *We-* *To-* *bie*
go *nam*

Oj- *cze* wo- *den* sto- *necz-* *ny* Coś *pe-* *sxit*
Oj- *cze* du- *cha* po- *te-* *gi* Do *ta-* *dań*

gwiar- *dy* óro- *ga-* *mi* *rit.* *a tempo* Du- *szes'* *po-* *ry-* *wat*
zy- *cia* potrze- *ba* By *'swiat* *za* *so-* *ba*

(óro- *ga-* *mi*) *rit.* *a tempo*
(potrze- *ba*)



Made in U. S. A. for
The B. F. Wood Music Co., Boston, London.
NO. 2

cresc.

w kie - ru - nek wiecz - ny Gdzie sam, gdzie sam ba - zy - teś
 w sto - necz - ne kre - gi Por - waić, por - waić i za - wieść

cresc.

cresc.

gdzie sam ba - zy - teś si - la - mi
 por - waić i za - wieść do nie - ba

rit. *espressivo*

Nie tra - ci - teś nigdy
 Nad Twoją stojąc więc mo -

cresc. *rit.* *p* *espressivo*

mp Mi - ły ka - teś sie o - ła - ry
 Du - cha zbroim Twoją si - ła

wia - gi - *mp*

trud wbił
 By Twój sie trud (a Twój trud) wbił (by się wbił) wia... ru cud Po... nad pył

Strzeż w na-ro-dzie zba-wiał lud Strzeż w na-ro-dzie
 Choc na zie-mi Bo-giem żył Choc na zie-mi

zba-wiał lud Bogiem żył Strzeż w na-ro-dzie zba-wiał lud
 Choc na zie-mi Bo-giem żył

Cześć Tobie, Ojcze, wodzu słoneczny,
 Coś pędził gwiazdy drogami,
 Dusześ porywał w kierunku wieczny,
 Gdzie sam dążyłeś siłami.
 Nie traciłeś nigdy wiary
 Ni lękałeś się ofiary.
 A Twój trud
 Wiary cud
 Strzeż w narodzie — zbawiał lud.

Twego nam, Ojcze, ducha potęgę
 Da zadań życia potrzeba,
 By świat za sobą w słoneczne kręgi
 Porwać i zawieść do nieba.
 Nad Twoją stojąc więc mogiłą
 Ducha zbroim Twoją siłą,
 By się wbił
 Ponad pył;
 Choć na ziemi — Bogiem żył.
 —Tekst i muzyka przez Siostry Felicjanki

NAM NIE NUCIĆ SMĘTNE TRENY

Marziale

1. Nam nie nu- cić smętne tre- ny Nam nie wzbu- dza- ją- cych łon Zi- ta- rko
 2. Tył- ko dzi- siaj czer- pać chce- my Swie- ży za- sob zdrowych sił By- śla-

wrzuca się bo- że- mi- Bu- na- # wios- ne ze- brać # pion, Nam- nie
 da- mi i- bac swe- mi Duch sie na wy- ży- ny wzbił © te

gło- # sio- two- je # czy- lny- Ani- # istawia- # wpro- # gwiazd # Bo- nad
 si- # te Oj- cze bla- iny- gaj Boga co- Two- ją- sła- był © te

gwiazdy # Rudz- kie # sy- # On- # Droc- # ziarn- # ka- # wo- # by- #
 si- # te Oj- cze bla- iny- gaj Boga co- Two- ją- sła- był ©

Tekst i muzyka przez Siostry Felicjanki

COPYRIGHT 1941.

Nakład i własność "Naszego Pisemka"